Nr. 12 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 czerwca 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł. 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie - kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 20 zawiera: Leon Pęski: Dziki łabędź i czarny bocian. — Adam Rzewuski: Toki, ciągi słonek i przelot kaczek, tegoroczny na Polesiu. — Leon Starkiewicz: Wyprawa na niedźwiedzia. — Por. Jerzy Czajkowski: Referat wygłoszony w dniu 3 listopada 1929 r. w Kozienicach na wspólnej koleżeńskiej biesiadzie Kozielnickiego Koła Łowieckiego. — J. Podoski: Precyzja sztucerów myśliwskich. — Wystawa psów. — Z Małop. Tow. Łow. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości handlowe.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 21 zawiera: H. Knothe: W sprawie siedziby własnej Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. — W. G.: Na wilki i rysie. — „Simba“ w Polsce. — Edward Niedziałkowski: Ostatni dzień sezonu. — Seweryn Cichowski: Polowanie na dziki z psami. — Roch Nowicki: Na tle konkursu wyżłów dowodnych w Wielkopolsce oraz prób polowych Tow. Hod. psów myśl. w Warszawie. — W. Słonczyński: Ze Standu w Monte-Carlo. — Dział Urzędowy z Polskiego Związku Stow. Łow. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości handlowe. — Sprostowania.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 22 zawiera: Wł. Karnkowski: Hodowla psa myśliwskiego w Czechosłowacji. — Dr. W. B.: Terminy ochronne. — Stanisław Leski: Moje obserwacje nad myszołowem. — Aleksander Janta-Połczyński: Łowiectwo we Francji. — Roch Nowicki: Na tle konkursów wyżłów dowodnych w Wielkopolsce oraz prób polowych Tow. Hod. psów myśl. w Warszawie. — Inż. Leon Ossowski: Choroby naszej zwierzyny łownej oraz sposoby jej zwalczania. — Sprawozdanie z działalności Instytutu Łowiectwa. — Z Polskiego Związku Stowarzyszeń łowieckich. — Wiadomości bieżące. — Bibljografja łowiecka. — Wiadomości handlowe.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 23 zawiera: Michał K. Pawlikowski: Sprawa pilna i zasadnicza. — Adam Rzewuski: Na terenach Węgrzynowic, miejscu urodzenia Jana Chryzostoma Paska. — Wł. Karnkowski: Hodowla psa myśliwskiego w Czechosłowacji. — Leon Pęski: Nieco o myśliwsko-łowieckiej działalności na Pomorzu. — Jan żarnowski: Wolna trybuna. Piekąca sprawa. — Korespondencje „Łowca Polskiego“. — Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości handlowe. — Odpowiedzi Redakcji.

Nr. 12 We Lwowie, 16 czerwca 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

Po śladach legendy

(Ciąg dalszy)

„Stałem jak „fizyk“ i długiej chwili potrzebowałem, zanim uprzytomniłem sobie, że to nie sen, lecz najprawdziwsza prawda. A nie ufać moim oczom przecież mogłem, bo daję Wam na to słowo, że nigdy ani przedtem ani potem nie spotkałem się w lesie z szczupakiem gonionym przez psy i do tego bez przerwy przez siedm godzin, bo druga już była, gdy szczupak ukrył się w stawie. Wątpić w rzeczywistość nie mogłem tembardziej, że psy moje obydwa były pokieraszowane. Jeden miał brzydko rozcięte ucho a drugi przegryzioną tylną łapę pod kolanem. Lecz najdosadniejsze stwierdzenie prawdziwości tego, co Wam opowiadam, okazało się dopiero w lat kilka po tem spotkaniu. Otóż we wszystkich potokach tych lasów przez które ówczesny gon szczupaczy przeszedł, zaczęło się pojawiać mnóstwo wcale pokaźnych szczupaków, których nigdy dawniej tam nie było. Widocznie goniony przezemnie wówczas szczupak był samicą roniącą w ucieczce ikrę, która spowodowała zarybienie potoków“.

Tyle p. B. Cisza zapanowała po tej humoresce, a mnie najmłodszemu w tem towarzystwie nie wypadało jej mącić niewczesnemi uwagami. Innym razem słyszałem następujący epizod opowiedziany przez p. M. sąsiada Huwnik:

„Znasz, mój kochany, ten ogród, który marszałek chciał założyć koło tartaku. Wiesz, że wszystko tam wyschło, tylko altanki pozostały. Bardzo to ładny widok, takie altanki pomalowane na różne kolory, podobały mi się bardzo i zapragnąłem mieć choć jedną taką w moim ogrodzie. Ale że to u szlachcica chuda fara, przemyśliwałem długo przed postawieniem, zanim nie obmyśliłem sposobu połączenia przyjemnego z pożytecznem.

Jak wiesz, u nas w górach po dworach panuje jeszcze dawny obyczaj, żyjemy bez żadnych pańskich grymasów i zachcianek i w razie nagłej potrzeby choćby to było w nocy lub wśród burzy, zrywa się brat szlachcic z łoża na równe nogi, ubiera buty, bierze kij w garść i stosownie do okoliczności latarnię czy parasol i wędruje chyłkiem w odległy kąt ogrodu, gdzie czekał go zazwyczaj skromny przybytek postawiony w celach, ku którym nawet monarchowie wędrują tylko per pedes.

Otóż i ja miałem na końcu mego ogrodu taki przybytek, postawiony na wysokości żbyrku nad bystrym potoczkiem, za którym zaraz ciągnęły się lasy. Miejsce było i ładne i zaciszne, wokoło rosło dużo bzów, w których przemieszkiwały słowiki, więc gdy w maju bzy się rozkwitły a słowiki się rozśpiewały, człowiek zapominał nieraz celu, dla którego tu przywędrował a poił natomiast oko, ucho i powonienie, choć przynajmniej to ostatnie wydaje ci się pewnie parodoksalnem. Ale było tak rzeczywiście, bo potok spełniał wszelkie higjeniczne posłu-

gi a w razie wylewu zmiatał nawet z brzegów resztki śladów pracy ludzkiej.

Z biegiem lat pochylił się bardzo ten przybytek i wogóle był już cały mocno zdezylowany, kazałem go więc rozebrać do reszty i na jego miejscu postawiłem śliczną, nową altankę, zachowując dla niej dawne przeznaczenie. Radowało mnie bardzo moje dzieło, odwiedzałem je pilnie i chwaliłem się niem przed sąsiadami a każdy nowy gość, który u mnie się zjawił, musiał volens nolens odbyć perygrynację do „altany" tak na wszelki wypadek. Ale sam nie wiedziałem, jakie miłe niespodzianki zawdzięczać będę jeszcze mojej altanie. Sąsiedzi moi znają tę historję, ale dla ciebie będzie to rzecz nowa, a więc posłuchaj.

Była to jesień prześliczna, około połowy października, roku już nie pomnę, bo działo się to kilkanaście lat temu — ale pamiętam, że był to rok nadzwyczajnego nalotu słonek. Spotykało się je wszędzie, nawet i po ogrodach w bliskości budynków.

Otóż pewnego popołudnia w chwili, gdy miałem już opuścić altanę, usłyszałem jakieś szmery pod sobą, tak jakby łopot skrzydeł. Zaciekawiony spojrzałem wdół i któż opisze moje zdziwienie, gdy ujrzałem dwie słonki raczące się okruchami „pańskiego stołu". Zmobilizowałem się cicho i szybko, dopiąłem, co do dopięcia jeszcze było i przybiegłszy do domu, nabiłem moją Lebedówkę drobnym śrutem i czemprędzej powróciłem do altany. Skradając się cichutko, dotarłem do wiadomego otworu i zaglądnąwszy ostrożnie, ujrzałem już trzy słonki, z tych dwie razem a jedną na boku, strzeliłem więc do tych dwóch i obie zostały od tego jednego strzału, trzecia uciekła. Od tego czasu uprawiałem to polowanie przez kilka dni z rzędu i zdobyłem przez ten czas kilkanaście słonek, ale wnet przekonałem się, że polując w ten sposób, zdobyć mogę mały tylko bardzo procent tych słonek, które widywałem. Bo to i strzały je płoszyły i schodzenie na dół do potoku, by zabite podjąć, również je odstraszało, a nalot tymczasem się wzmagał i słonki zrywały się po strzale całemi stadami jak kuropatwy. Łamałem sobie głowę, jakby sobie w tej sytuacji poradzić.

Ani „rozjazdem" ani „płotkami" ani też siecią kabłąkową nie można było w tem miejscu dopomóc, gdyż potok był wąski i zamknięty wśród zarośniętych krzakami, urwistych brzegów, wysokich na kilkanaście łokci. Aż przypadek wskazał mi właściwą drogę. Syn mego ekonoma student gimnazjalny bawił w czasie wakacyj u ojca, a że się nudził, łowił całemi dniami kiełbie i płotki na wędkę w potoku. Po jego odjeździe zostały dwie takie wędki w ganku ekonomówki. W moich obchodach gospodarskich widywałem te wędki codziennie, ale nie zwracałem na nie specjalnej uwagi, aż nagle któregoś dnia tak jakby mnie olśniło — Eureca! Będziemy słonki łowić na wędkę — i bez zwłoki myśl tę w czyn wprowadziłem. Jako przynęty używałem glist ziemnych i różnych robaczków i rzecz w praktyce okazała się wyśmienitą. Wędka działała cichutko, po słonki nie trzeba było się już fatygować na dół, bo każda złowiona wędrowała na sznurku do góry, gdzie towarzyszący mi chłopak ukręcał jej łebek w jednej chwili. Rzecz cała odbywała się tak sprawnie, że inne słonki zgromadzone u żeru nigdy się tem nie zaalarmowały, że jedna z nich tak niespodzianie wędruje w górę. Polowanie to było jedyne w swoim rodzaju i ręczę, że żaden zapalony wędkarz nie przechodził podobnych wzruszeń ani z pstrągami ani z łososiami.

Jesień była długa i ciepła, słonki dosiadywały u nas długo to też w ciągu jakich trzech tygodni, złowiłem około setki, a bywały dnie wyjątkowo szczęśliwe, które dostarczały i po kilkanaście słonek. —

Przyszły wreszcie słoty jesienne i za niemi mrozy i polowanie na słonki się skończyło. — Z niemałem upragnieniem oczekiwałem następnej jesieni. Już wcześnie przygotowałem sobie wędki i postarałem się sumiennie o bogaty garnirunek słonczego stołu. — No i cóż powiesz, ani następnej jesieni, ani też w ciągu żadnej z późniejszych nie pokazała się tam już ani jedna słonka. Dlaczego? Próżno dociekać — tajemnica, jak tyle innych w naturze.

Aha, zapomniałem ci jeszcze powiedzieć. — Wśród złowionych wówczas przezemnie słonek, były dwa fenomeny. Jedna była zupełnie biała a w skrzydełkach miała fioletowe lusterka jak krzyżówka, druga upierzona zwyczajnie, posiadała dziób jak krzyżodziób — to znaczy, że dolna połowa dzióba skręcała się zaraz przy głowie w górę i wystawała parę cali nad górną. Górna połowa opadała w dół i wisiała na równą długość pod dolną. Obydwie te słonki, posłałem w darze do muzeum Dzieduszyckich do Lwowa, lecz w kilkanaście dni później otrzymałem niestety wiadomość, że nadeszły zupełnie zepsute i nie nadające się do konserwacji. Nie dziw — jesień była bardzo ciepła, słonki mocno oblane a poczty nie funkcjonowały jeszcze tak sprawnie jak dzisiaj. Szkoda wielka, bo nie prędko spotka ktoś raz jeszcze takie okazy."

I tego opowiadania wysłuchać trzeba było udając, że się w nie wierzy, nie zdradziłem więc ani mrugnięciem oka żadnego powątpiewania w prawdziwość tych wydarzeń i wraz z Narratorem ubolewałem nad utratą tak rzadkich i cennych egzemplarzy.

Dosłownem przytoczeniem tych dwu opowieści może znużyłem czytelników, ale uważałem za wskazane wyłowić je z powodzi innych i utrwalić je jako przykłady dawnej „łaciny myśliwskiej". Dziś już łgarzów tego pokroju i fantazji, nie spotyka się. — Ciekawe na tych polowaniach bywały też typy.

Jeden z myśliwych, strzelający bardzo kiepsko a mający wielkie ambicje pod tym względem, nie chybiał nigdy ani zająca ani lisa, lecz również prawie nigdy nie podnosił łupu.

Każdy przez niego strzelony lis czy zając farbował i gubił obficie turzycę, lecz nigdy ani pies, ani człowiek, dojść nie mógł rannego zwierza. — Trwało to długi czas i niefortunnemu strzelcowi kondolowano wszechstronnie, dociekając przyczyny takiego niepowodzenia.

Aż wreszcie jakiś wścibski odkrył tajemnicę. — Pokazało się mianowicie, że jegomość nosił zarękawek podbity wewnątrz w połowie lisem a w połowie zającem a do tego w torbie flaszeczkę z jakąś czerwoną farbą i przy pomocy tych środków fabrykował po mistrzowsku t. zw. „Anschuss“, powiedzmy po polsku „postrzał“.

że nie lada gaudjum nastąpiło po tem odkryciu, nie potrzebuję dodawać, a tylko wiek delikwenta ocalił go przed „sforami“, których użycie gorętsi proponowali.

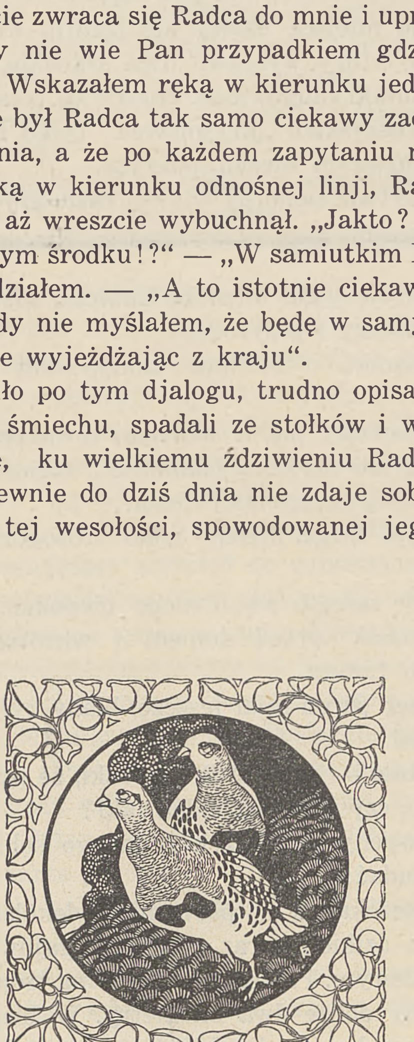
Drugi ciekawy okaz myśliwego spotkałem przy innej sposobności. — Przyjechał pewien obcy Nemrod, którego tytułowano panem Radcą. — Co, gdzie i komu radził nie wiem, ale widocznem było, że sam rady szuka, bo co chwilę pytał o wszystko: „A co to za góra? A skąd ten dym wychodzi? A jak nazywa się ta rzeka? A co to za miejscowość, którą stąd widać? A dlaczego psy tak ujadają? A dlaczego tak trąbią?“

I tak w kółko zamęczał wszystkich najniedorzeczniejszemi pytaniami. — Ale najkapitalniejszą niespodziankę zarezerwował nam na czas śniadania.

Śniadanie dnia tego odbywało się na skrzyżowaniu dwóch linij przecinających się pod kątem prostym, na samym szczycie góry. Przypadkiem linje te wycięte były prawie dokładnie w kierunku czterech stron świata. Siedziałem na myśliwskim stołeczku, z pełnym talerzem na kolanach, obok mnie p. Radca na pniaczku. W pewnym momencie zwraca się Radca do mnie i uprzejmie zapytuje: „Czy nie wie Pan przypadkiem gdzie tu jest wschód?“ — Wskazałem ręką w kierunku jednej z linij. Po wschodzie był Radca tak samo ciekawy zachodu, północy i południa, a że po każdem zapytaniu następywał mój ruch ręką w kierunku odnośnej linji, Radca podumał chwilkę, aż wreszcie wybuchnął. „Jakto? to my siedzimy w samym środku!?“ — „W samiutkim Panie Radco“ odpowiedziałem. — „A to istotnie ciekawe“, podjął Radca. „Nigdy nie myślałem, że będę w samym środku ziemi i to nie wyjeżdżając z kraju“.

Co nastąpiło po tym djalogu, trudno opisać. Ludzie kulali się ze śmiechu, spadali ze stołków i wypuszczali z rąk talerze, ku wielkiemu zdziwieniu Radcy, który o ile żyje, pewnie do dziś dnia nie zdaje sobie sprawy z przyczyny tej wesołości, spowodowanej jego „odkryciem“.

(C. d. n.)



JERZY DYLEWSKI

Wrażenia z Wystawy psów myśliwskich w Warszawie

Już tu muszę się przyznać z całą otwartością, że po opuszczeniu ostatnich prób polowych w Wilanowie, — nie mogłem się doczekać jakiejś imprezy, któraby pozwoliła na ocenienie postępów hodowlanych w dziedzinie naszych miłych i najwierniejszych przyjaciół.

Nie widziałem się z pieskami, mniej więcej znanymi, przez półtora roku i przyznaję, że się stęskniłem za starymi znajomymi.

Bardziej jeszcze zaciekawiała mnie klasa młodzieży, gdyż „importy“ sprowadzone przez hodowców w progeniturze swojej bezspornie podnoszą klasę psa myśliwskiego w kraju i z tego tytułu należy uznać nie małe zasługi w Panach: Antoszewskim, Bielawskim, Czerskim, Milewskim i w tych wszystkich, których imiona mniej mi są znane, a którzy nie szczędzili nakładów i pracy, aby z niczego dojść do tych rezultatów, jakie pozwolono z radością porównywać w roku bieżącym.

Powiedzmy otwarcie, że wojna zmiotła doszczętnie wszelki materjał hodowlany z całej Polski tak, że np. w rasie pointerów zaczynali hodowcy od jednej jedynej suki „Reny“ (własność Dra Ignacego Grymińskiego), której rodowodów nie znano, a wysoką klasę osądzono tylko z powierzchowności.

Dopiero później nieco Stanisław Czerski sprowadził „Franta“ od słynnego rosyjskiego hodowcy Marr‘a, co dało początek i rękojmię ustalenia typu pointera, którego według mnie jeszcze przed kilkoma laty nie mogłem się dopatrzeć.

Następnie przybyła „Ganka“ Milewskiego i znów „Black-Deville“ Czerskiego oraz „Skogis-Pampas“ i inne jeszcze psy, z których świetną w sylwetce i budowie żółtą sukę (import szwedzki wł. p. Antoszewskiego) podziwiałem w pierwszym dniu Wystawy.

Najkapitalniejsze potomstwo, co już dawno zostało stwierdzone, dał „Frant“ i „Rena“. Nie było też niespodzianki w przyznaniu pierwszego miejsca „Grymowi“, pochodzącemu od tej pary reproduktorów, czarnemu pointerowi hodowli p. Antoszewskiego.

Z całą bezstronnością należy przyznać i podkreślić, że tak zamiłowanych hodowców, utrzymujących tak liczną psiarnię jak p. Antoszewski i tyle wkładających w psy serca, oprócz gotówki, — nie posiadamy w bliskości Warszawy, a może i wcale takiego nie mamy.

W pointerach było sporo dobrych psów o ustalonym zupełnie exterieur‘ze, i kilka wprost — wybitnych. Nie sądzę jednak, aby hodowcy nasi, po odniesionych sukcesach, spoczęli na laurach.

Mówię to jedynie dlatego, iż nasuwa mi się pewne spostrzeżenie, które z całą gotowością poddaję bezstronnej krytyce znawców bardziej odemnie kompetentnych.

Mam jedno „ale“, a tem jest przerasowanie pointera

nie w proporcji budowy, ale w jego grubości i wysokości.

Być może, iż znawcy tej miary co pp. Stolarow, Morzkowski, Bielawski, Prychodko, są innego zdania, jednak z praktyki własnej wiem, że pies drobny jest zwykle w użytkowaniu bardzo delikatny, wymaga wielkiej rezerwy w forsownem polowaniu przy zmiennej aurze i — najważniejsza — osobliwej pielęgnacji na polowaniu.

Te okazy, które obserwowałem na Wystawie, są bezsprzecznie piękne, ale z wyjątkiem dwóch psów żółto-łaciastych, jednego czarnego, jednej suki żółtej i jednej czarnej — za delikatne.

Gotów jestem wytrzymać wszelkie ataki za moją śmiałą krytykę pointera. Ugnę zawsze czoła przed autorytatywnem zdaniem, ale muszę śmiało wypowiedzieć to co myślę i to, o czem jestem w mniemaniu własnem najgłębiej przeświadczony, — chociaż jawne wypowiadanie najszlachetniej pojętych myśli tak się czasami dzisiaj mści, że nauczony smutnem a długotrwałem doświadczeniem, powinienem, zdawałoby się, „nie sprzeciwiać się Złemu„.

Ale takim byłem i takim niepoprawnym widocznie zostanę.

Słowo się rzekło...

Mocne zato były „Laweraki“, chociaż bez wybitnych jednostek i kapitalna „irlandka“ własność p. Rozpędzikowskiego, — pochodzące ze słynnego gniazda psów użytkowych i jednocześnie pięknych, hodowanych niegdyś przez naszego ziomka w Moskwie, pana Morzkowskiego.

Nie spotykałem w życiu psów, któreby tak wytrwale, tak szybko i w tak prawidłowo zarysowanej ósemce szukały, jak psy hodowli Dyrektora Morzkowskiego.

Posiadałem przez dłuższy czas babkę nagrodzoną obecnie „Ery“ słynną „Nidę“, która przy 64 psach, stających do konkursu polowego, wzięła „Grand Produce“ w Moskwie w 1915 roku.

Gdy się na Wystawie głaszcze taką „wnuczkę“ dawnej faworyty — wspomnienia kojarzą się smutnie z jej znakomitą babcią.

Gordon-settery miały niby trzech przedstawicieli, ale skromna ich ilość odpowiadała zupełnie jakości.

W wyżłach niemieckich, które tak niewielu wśród klasowych myśliwych naszych mają zwolenników, był jeden ostrowłos, trzy szorstkowłose, reszta — gładkie.

Najlepsze, mam wrażenie, należały do p. Abramowicza i p. Generała Skrzyńskiego.

Spaniele — słabo reprezentowane i zdaje się, że tylko rasa w nich była myśliwska, gdyż sierść wskazywała na pokojową służbę małych pieszczochów.

Zupełnie ładnie prezentowały się fox-terriery, szczególniej szorstkowłose. Przepiękna była w tej rasie 9-cio miesięczna suczynka; w dobrej kondycji, tylko cokolwiek zanadto podskubana przed „Konkursem Piękności“ (własność Pani Breda).

„Pokojowe“,żółte jamniczki były też ładne, ale znać po nich wychowanie i ułożenie „salonowe“.

Specjalne miejsce należy się psiarni hr. Maurycego Potockiego, który wystawił dwa szkockie, mówmy poprostu, jamniki długowłose. Śliczne te pieseczki, podobne są do rosyjskich „krysołowek“ tylko nieco większe i gęściej dłuższym włosem pokryte.

Piękny był ale samotny w swej rasie gryfon, doskona-

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

UTRACONE SZCZĘŚCIE

(Dokończenie)

W oficynie pałacowej w Rzewuszkach bawiono się wesoło. Śmiano się i opowiadano sobie epizody z dnia dzisiejszego.

Na dworze, na zasłanym śniegiem klombie ułożono rozkład.

Dzik, zabity przez barona Zanda, wilk przeszyty kulą Michała, leżą w środku, dalej kozioł i lisy, a całość otoczona wieńcem szaraków.

Podano kolację. Leje się burgund, następują toasty.

Różogórski siedzący obok pani Gorskiej przeżuwa coś w myśli, po chwili wstaje i mówić zaczyna:

Pito tu zdrowie prawie wszystkich, lecz zapomniano o faktycznym dnia dzisiejszego bohaterze, a on tam w lasach ściga dalej ranną zwierzynę.

Nie wszystkim jest wiadomo, że to on uczynił mnie niezdolnym do rąbania lasu. On niestrudzony bojownik swej idei, wpoił we mnie miłość przyrody, chroniąc tem puszczę przed ostrzem siekier.

Piję zdrowie pana Michała Lubicza, niezwyciężonego obrońcy puszczy i przyrody.

Na wzmiankę o Michale zaniepokoili się wszyscy o niego.

Ludzie bawiący się w wesołem towarzystwie zwykle zapominają lub nie chcą pamiętać o czemś, co może zamącić ich bieg beztroskiej myśli.

I tak było teraz. Jeden tylko Różogórski pamiętał o Michale.

Lecz gdy zaczęto się o niego niepokoić, zabrzęczały dzwonki sanek przed domem i wkrótce ukazał się w drzwiach Lubicz.

Na wąsach szron miał jeszcze, blady był bardzo, ciężko oddychał.

Co się stało — zapytał Różogórski, że pana do tej pory nie było, czy może wypadek jaki?

Michał wychylił kieliszek podanego sobie wina i zaczął opowiadać:

Kiedy doczekałem się psów, nie zwlekałem i ruszyłem za rannym dzikiem wraz z dwoma gajowymi: Symiukiem i Hrehorym. Psy zaraz wpadły na trop i tak za niemi gnaliśmy dobre dwa kilometry. W biegu zrzuciłem szubę, potem kurtkę i tak w samym tylko garniturze

ły w polu, jak twierdził mój stary znajomy b. łowczy cesarski w Spale p. Zwolanowski, a najciekawsze dwa norweskie tropowce, podobne z umaszczenia do alzackich owczarków, a z budowy przypominające coś pośredniego pomiędzy rosłym szpicem a łajką syberyjską.

Dziwnie spokojnie zachowujące się i mądrze spoglądające na widza pieski te, — jak twierdzi p. Zwolanowski, który raz z p. hr. Potockim polował w Norwegji, — mają niepospolitą zdolność tropienia łosi (zdrowych — nie ranionych) i prowadzą myśliwego za tropem, bez wydawania głosu, po kilkanaście godzin.

Nie każdy może jednak dostąpić takiego szczęścia myśliwskiego jak p. Zwolanowski i zobaczyć pracę tych psów, czego Mu, przyznam z całą szczerością i serdecznością — zazdroszczę.

Tyle — o psach.

Szkoda, że tak krótko trwała Wystawa a jeszcze bardziej żałuję, że się tak rzadko odbywa, pominąwszy bowiem względy zamiłowań i upodobań myśliwskich, Wystawa jest jedną z nielicznych okazyj dla mieszkańca prowincji, przy której spotkać można najwybitniejszych myśliwych, najsłynniejszych hodowców, najlepszych znawców, z którymi jak np. z p. Stolarowem nie widziałem się od czasu ostatnich prób polowych w Moskwie w 1916 roku, albo z takim connaisseur'em setterów jak z p. Morzkowskim — od 1921 roku.

A przecież z tymi wybitnymi, o europejskiej sławie, znawcami i myśliwymi polował człek nie mało i psów też na próbach polowych sporo oszacował.

A p. Zwolanowski? Ile wspomnień z lat młodości?

Tak. Niestety.

Coraz częściej żyć zaczyna się wspomnieniami.

Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy

Wydelegowani przez Wydział M. T. Ł. p. Tomisław Jędrzejowicz i ja, zwiedziliśmy wyż wymienione Zakłady hodowlane przed kilkoma dniami. Jesteśmy tem, cośmy tam ujrzeli, zdumieni i zachwyceni. Zdaje się wprost nie do zrozumienia, jak można było w tak krótkim czasie, bo w ciągu roku (Spółka założona w r. 1929) tyle na polu hodowli uczynić.

Dla łowiectwa naszego ma ta impreza olbrzymi walor, gdyż jak praktyka nas uczy, sprowadzane z Czech zające, nie zawsze odpowiadały swemu zadaniu rozmnoży, głównie z powodu nieodporności na nasz ostry klimat. Zające Spółki pp. E. i T. Barańskich są pochodzenia swojskiego, dają więc pełną gwarancję pod względem zarodowym. Również niepotrzebnie znaczne sumy pieniężne na zakupno zwierzyny żywej odpływały za granicę.

Tereny przedsiębiorstwa położone są w powiecie stryjskim na podgórzu karpackiem i obejmują obszary własne i dzierżawione a leżące w następujących gminach: Zawadów, Koniuchów, Grabowiec, Duliby, Hurnie, Wola Dołhołucka, Manasterzec, Kłodnica, Bratkowce, Łukawica Dolna i Łukawica Górna. Prócz tego w graniczącym powiecie Dolina zadzierżawiła Spółka Niniów Dolny i Niniów Górny. Obszar ten wynosi 15.00 ha i tworzy jedną całość przedzieloną rzeką Stryj.

W ciągu rocznej zaledwie działalności założono dwie bażantarnie, jedną w Bratkowcach o 15 woljerach, drugą w Łukawicy dolnej o 70 woljerach, oraz kuropatwiarnię o 25 woljerach, która mieści się przy bażantarni w Łu-

pędziłem dalej. Dobiegliśmy do miejsca, gdzie psy osaczyły dzika. Nie można było niestety strzelać, gdyż gąszcze przeszkadzały. Wówczas posłałem z drugiej strony Hrehora, by wypłoszył odyńca na mnie. Dzik jednak, zamiast wyjść na moje stanowisko, wypadł na Symiuka i ledwo ten mógł się spostrzec, już leżał na ziemi, a po nim z całym impetem przewalił się odyniec. Nic mu się jednak nie stało, zaraz bowiem się podniósł i wówczas obydwaj zaczęliśmy strzelać do uchodzącego dzika. Po jednym ze strzałów odyniec padł, by się więcej nie podnieść. Posłałem po sanie, a sam z Symiukiem, po wypatroszeniu zwierza, usiedliśmy na kłodzie drzewa, czekając na przybycie Hrehora. Teraz dopiero poczuliśmy, jak jest zimno. Mróz szczypał niemiłosiernie. Wreszcie przybyły sanie i skostniali dowlekliśmy się tutaj.

Michał przez cały ciąg opowiadania, trząsł się jak w febrze. Przemarznięte jeszcze ciało, nie odtajało w temperaturze pokoju.

Różogórski nalewał Michałowi wciąż wina, starając się tem go rozgrzać.

Wkrótce też wystąpiły wypieki na twarz zmarzniętego i wnet wśród śmiechu rozbawionego towarzystwa zapomniano o zaszłym wypadku.

Różogórski tylko coraz z niepokojem spoglądał na rozpaloną twarz Michała.

Późna już była noc, gdy goście zaczęli się rozjeżdżać.

Michał przez cały czas jazdy do leśniczówki, czuł dreszcze. Mimo ciepłej szuby zimno przenikało go.

Kiedy konie stanęły przed gankiem, ledwo zwlókł się z sani.

Z trudem doszedłszy do łóżka, tak, jak stał, ubrany rzucił się na łóżko i wnet począł mówić, sam nie wiedząc co.

IX.

Zima przechodziła swój kryzys.

Mrozy jeszcze lute trzymały ziemię w żelaznych swych okowach.

Czuć jednak było w powietrzu nadchodzącą wiosnę.

Różogórski przez Michała wtajemniczany w ukryte tajniki przyrody, teraz głęboko się w niej rozkochał.

Stała mu się ta ziemia i puszcza czemś droższem, czemś wyższem i piękniejszem, niż dotychczasowy jego ideał — pieniądz.

Nie baczył na daną Michałowi obietnicę, sam teraz odczuł, iż ciąć te dęby i sosny, to wandalizm postępu, chyba, że tego wymaga gospodarka leśna.

kawicy. Dla celów doświadczalnych i handlowych założono w Bratkowcach park zajęczy o obszarze 4 ha ogrodzony murem, gdzie obecnie znajduje się 15 zajęcy starych i niedająca się jeszcze sprawdzić ilość zajęcy młodych.

Spółka będzie mogła w sezonie 1930/31 sprzedać z terenów w stryjskim pow. około 1000 zajęcy, 800 kuropatw i 2.000 bażantów. Gdyby ilość ta nie wystarczała dla pokrycia wewnętrznego rynku, projektuje się wyłapywanie zwierzyny na innych terenach, na których będzie się łowić zające i kuropatwy przeznaczone na eksport.

Najważniejszem celem przedsiębiorstwa, po pokryciu rynku wewnętrznego, jest zorganizowanie sprzedaży żywej zwierzyny na eksport w wielkich ilościach. Projektuje się także w najbliższej przyszłości budowę dużego parku zajęczego o obszarze kilkudziesięciu hektarów, oraz powiększenie już istniejącej fabryki karmy mięsnej dla bażantów i psów na wzór Spratta w Berlinie, która na razie służy na zaspokojenie zapotrzebowania własnego i najbliższej okolicy.

Tak przedstawia się teraźniejszość Spółki hodowlanej pp. Barańskich i takie projekty snują Oni co do umiłowanego przez Nich dzieła w najbliższą przyszłość. Ale zrealizowanie ich nie zależy tylko od inicjatorów tego ważkiego dla łowiectwa dzieła. Zależy od zbytu, a więc od poparcia, jakie udzielą Im nasi hodowcy myśliwi. A sprawa jest zbyt ważna dla małopolskiego łowiectwa, byśmy się nią zająć jak najgorliwiej nie mieli. Wzywamy też zespół nasz myśliwski do najżywszego w niej współdziałania przez zaopatrywanie się w zwierzynę żywą u pp. Barańskich.

Nie szczędzą Oni ani trudów ani kosztów, by rozpoczętą tak użyteczną imprezę rozwinąć i doprowadzić do rozkwitu. Aż serce rośnie, gdy się widzi Ich zapał, Ich starania, znajomość rzeczy, porządek i troskliwość, w czem dopomaga Im doskonale i fachowo już wyrobiony personel.

Progi łukawickie opuszczaliśmy z uczuciem zadowolenia, że ta można inicjatywa zrodziła się w Małopolsce i z uczuciem głębokiej dla Inicjatorów myśliwskiej wdzięczności.

Niech św. Hubert temu wspaniałemu dziełu jak najszczodrzej błogosławi!

Albert Mniszek



Często też wyruszał do lasu.

Przez cały ten czas czuł się samotny, brak mu było na tych wycieczkach Michała, który leżał chory.

Dziś znowu siedział zamyślony, siedział w puszczy.

Dzień ten miał być dla niego ostatnią próbą.

Kiedy się znalazł w lesie i bacznie spojrzał na wspaniałe drzewa, atawizm narodowościowy raz ostatni się w nim odezwał.

Ileby z tego było pieniędzy — pomyślał.

Liczył coś w pamięci, rachował, ile pieniędzy dadzą mu te drzewa, po chwili wyjął gruby notes i zaczął kreślić długie kolumny cyfr.

A kiedy zsumował, aż chwycił się za głowę, tak zawrotna suma wypadła w jego rachunkach, jednak gdy raz jeszcze wzrok spoczął na zasypanych śniegiem gałęziach sosen, uginających się pod tym ciężarem, gdy do uszu jego dotarł szum-rozmowa drzew, wstał i z pasją jakąś dziwną, wyrwał zapisaną kartkę z notesu, podarł i rzucił.

Śnieg lekko sypiący, wnet swemi białemi płatkami przykrył ten nigdy niewykonany wyrok.

Zwyciężyła rosnąca w sercu Różogórskiego miłość do natury.

Przed oczyma Różogórskiego stanął obrońca tego lasu, tych przepastnych, zazdrośnie kryjących swe tajemnice, borów.

Upłynęło już blisko dwa miesiące od polowania, na którem się Michał przeziębił.

Od tego czasu nic mu się nie polepszyło, przeciwnie coraz gorzej przedstawiał się stan zdrowia Lubicza.

Był czas, kiedy zdawało się, że wróci do zdrowia, parę dni bowiem był bez gorączki, lecz kiedy pewnego dnia, wstał i stanął w oknie, by nareszcie, po długiem niewidzeniu, zobaczyć swe bory ukochane, zawiał go zimny powiew, a wieczór miał znów już tak wysoką temperaturę, że wnet począł bredzić w malignie.

Do tej pory nie odzyskał przytomności.

Wszystko to przesunęło się błyskawicznie przez umysł Różogórskiego i długoby tak myślał, gdyby nie usłyszał dzwonków, zbliżających się sanek.

Wnet zatrzymały się przed nim, z koni buchała para.

Pan Lubicz umiera i prosi by pan dziedzic zaraz do niego przyjechał — jednym tchem wyrecytował młody furman Michała.

JAROSŁAW HUBALEK

GENERAŁ

sylwetka karpackiego dzika

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

I nasz bohater opuścił zimową ostoję. Wałęsał się po górach, szukając czegoś zielonego. Potrzebował zmiany paszy. Tu wyrył kawałek darniny z dżdżownicą, tam dziką cebulę, ówdzie zeszłoroczny grzyb. Dostał się wreszcie do kotliny rozległej na jakie dwieście hektarów, słonecznej, pełnej zwartych gąszczy. Tu otropił go gajowy, lecz poznał młodego samotnika i w duchu rad był, że biedak dobrze przezimował. Lecz inne niebezpieczeństwo nie przestało mu grozić. Przez całą zimę włóczyły się tu dwa wilki, nie jedna też łania i sarna padła ofiarą ich ostrych kłów. Póki leżał śnieg, wiodło się im dobrze. Zwierzyna brnęła głęboko w śniegu, wilk trzymał się na powierzchni, więc pogoń była dlań łatwa. Dziś było gorzej. Domowego bydła jeszcze nie wypędzono w las, zwierzyna trzymała się miejsc słonecznych, bezśnieżnych, gdzie mogła wykazać całą błyskawiczność ruchów. Z radością zatem stwierdziły wilki fakt, że w sąsiedztwie krąży samotny młody dzik, bez strasznej lochy.

„Życie jest jednem pasmem przypadków, szczęśliwych i nieszczęśliwych“, twierdził jakiś filozof — i po wielekroć miał słuszność. Bo i jakby mogło roczne zaledwie dziczątko ujść dwom wilkom — bez pomocy szczęśliwego przypadku?

Na padłej brzozie siedział sobie spokojnie gajowy, broń oparł o brzozę i zabierał się do nabicia fajeczki. Naraz posłyszał jakiś szmer i kwiknięcie. Tytoń i zapałki upadły na ziemię, ręka chwyciła za lufę. Powtórzył się kwik wraz z łamaniem krzaków. W dwóch skokach był gajowy na ścieżce i cicho podążył w podejrzane miejsce. Stanął na skraju maleńkiej polanki, ciągnącej się do potoku i czekał. Coś działo się w gąszczu nie dalej, jak o dziesięć kroków, szelest się powtórzył tuż i na polankę wypadł młody dziczek, a za nim w trop wilki. W tej samej sekundzie rozległ się strzał. Kula drasnęła wilka po grzbiecie, wycięła płowy kosmyk włosów i ugrzęzła w ziemi. Olbrzymim skokiem były wilki w gęstwinie, dziczek zaś wyniósł z tego spotkania dwa doświadczenia: że wilk kąsa bardzo boleśnie, i że nad wilkiem góruje człowiek, władnący blaskiem i piorunem.

Od tej chwili nikt nie widział małego generała. Skryty dobrze, legiwał po całych dniach w niedostępnych kniejach, nocami wychodził na pola, wciąż gdzieindziej, zresztą i trop takiego młodziaka łatwo przeoczyć wśród tropów sztuk grubych.

Nieraz miał sposobność przyłączyć się do liczniejszego towarzystwa, lecz zostawiony samemu sobie od dziecka, tak dalece nauczył się liczyć na siebie i dowierzać tylko sobie, że wolał zostać mimo swej młodości, odyńcem. Ta samotność rozwinęła nad miarę jego wrodzoną inteligencję. Wiedział, który Rusin ma najwcześniejsze ziemniaki, i że różowe bulwy są wcześniej dojrzałe, niż inne. Wiedział, że w dzień, gdy człowiek widzi dobrze, nie wolno wychodzić na pole, że księżyc jest dla zwierza zdradziecki, że ludzie nie zawsze mają w ręku grom i błyskawicę, i że bez nich nie są właściwie bardzo niebezpieczni.

Zbladł na te słowa Różogóski, w milczeniu siadł do sanek i kazał się wieźć do leśniczówki.

Ciągle naglił furmana, bojąc się, czy jeszcze zdąży.

Konie rwały wyciągniętym galopem, czasem zapadały się w śnieg wyżej kolan.

Stanęli wreszcie przed leśniczówką.

Szybko wyskoczył Różogórski z sanek, wbiegł na ganek, szarpnął za drzwi, ustąpiły, w przdpokoju zrzucił z siebie burkę i czapkę i wszedł do pokoju, gdzie leżał Michał.

Naokoło łóżka stali gajowi, którzy przybiegli na wieść, że ich ukochany pan kona.

Zbliżył się wolno, cicho Różogórski do łoża umierającego.

Poznał go Michał; chciał podnieść rękę, by podać przybyłemu, lecz sił mu nie starczyło. Blado się tylko uśmiechnął.

Klęknął dziedzic Rzewuszek przy Michale, wziął jego rękę w swe dłonie i milczał.

Podnieście mnie — ledwo dosłyszalnie wymówił Michał.

Dwóch gajowych wzięło go ostrożnie pod ręce i uniosło go delikatnie, jak tylko mogli.

Zaczął mówić:

Zebrałem was wszystkich tu, by się z wami pożegnać, umieram. Chcę wam jeszcze przed śmiercią parę słów powiedzieć.

Panie — zwrócił się do Różogórskiego — niech pan kocha puszczę i ją ochrania, błagam, ona da panu ukojenie w życiu, a wy, którzy całe swe życie spędziliście w tej puszczy, pomagajcie w tem dziele dziedzicowi. Ja umieram, lecz serce moje uradowane, bo ukochało najpiękniejszy ideał.

Odchodzę od was, pewny jednak, że nie skrzywdzicie tej puszczy.

Och, jak mi ciężko oddychać.

Widzę rycerza na koniu. Ogary grają, pędzą, niezważając na zwały pni i bagna. Wielka polana. W jednym końcu stoi jeleń biały, krzyż świetlany między rogami. Z drugiej strony wypadają ogary i rycerz na koniu. Lecz co to? Ogary wyjąc, cofają się, uciekają. Zsiada z konia rycerz. Klęka, zdejmuje zakrycie głowy. Rozumiem. Boże, Boże, co za łaska, widziałem świę-te-go Huber-ta. Grób... mój... tam... w puszczy...

Dowiedział się, że jedno zwierzę — pies — zdradziecko sprzedało się człowiekowi, że mu podle służy na szkodę swych bliźnich, a szczekaniem oznajmia zwierzynę i przywołuje człowieka. Spotkawszy zatem psa, najlepiej zawczasu się ukryć, lub uciec.

Przekonał się, że kukurydza, gdy zawiązuje kolby, jest bardzo słodka i smaczna. że owies ma wielorakie zastosowanie; zielony, ma miły słodkawy smak, dojrzały jest wyborny i sytny — a idziesz przez poletko — chłodzi ci roskosznie boki obwisłemi kiśćmi.

Doświadczenie powiedziało mu, że nim się wejdzie w ziemniaki, należy wprzód obejść pole w odległości jakichś stu kroków, poczem dopiero zacząć ucztę pod wiatr. Płoty, strachy i szmaty — to głupstwo — nic ci złego nie zrobią. Przeciwnie, około nich bywa najbezpieczniej. Człowiek licząc na nie, nie pilnuje pola. Natomiast strzeż się jasnych nocy księżycowych. Z za każdego krzaka wypaść może błyskawica. Tu trzeba albo wciąż wietrzyć, albo wychodzić na pola dalsze i większe, gdzie niema żadnych zarośli. A jednem z najważniejszych przykazań jest: nie chodź nigdy na to samo miejsce dwa razy po sobie. W ten sposób pewnej nocy majowej, zapłacił rachunek za Generała trzyletni, ładny knurek. Znalazłszy pólko ziemniaczane pod lasem, zrył je Generał tak dokładnie, że biedny Rusin ręce załamał — i wzywał piekła na jego głowę. Nazajutrz z wieczora zjawił się tu nowy gość, trzylatek. Ledwie zdążył przewrócić piąty krzak, gdy coś huknęło i sześć grubych loftek uwięzło mu w boku. Szedł z niemi jeszcze dwadzieścia kroków i padł, podczas gdy wystraszony Generał, który się jakoś dziś opóźnił, zawrócił i uszedł cało. Po każdym takim wypadku, opuszczał na jakiś czas rewir, i tak powoli stał się włóczęgą, wietrzącym wszędzie zasadzkę, a za każdym krzakiem śmierć.

Następną zimę spędził równie szczęśliwie, jak pierwszą. Był wprawdzie raz otropiony, lecz udało mu się wynieść skórę całą z miotu — nawet bez strzału. W trzecim roku zapłonął pierwszą miłością, nie odwzajemnioną. Miłość musi dzik zdobyć i wywalczyć, a do tego potrzeba więcej siły i mocniejszych szabli, niż je miał Generał.

VI.

Minęły jeszcze dwa lata.

Blade listopadowe słońce skryło się za Wiatrową Górę, w puszczy umilkły głosy ptactwa i tylko wieczorny wietrzyk szemrał w konarach drzew. Młody porost stał jeszcze w jesiennym liściu, podczas gdy starodrzew wyciągał ku niebu nagie ramiona. Buczyna dawno już opadła, lecz nie widać jej było nigdzie. Wprawdzie książkowa teorja mówi, że orzech bukowy spadły z drzewa z powodu grubej warstwy liści nie może się dostać do ziemi, poczem kiełek zamiera i stąd pochodzi, że stosunkowo słabo odmładza się las bukowy, w lesie jednak rzecz ta nieco inaczej wygląda niż w książce. Przyroda mądrzejszą jest od uczonych autorów. Nie widać buczyny na liściach, leży bowiem pod liśćmi, chociaż później od nich opada. Natura dała orzeszkowi mądrze i celowo kształt trójściennej piramidy. Mając dzięki temu nader chwiejną równowagę, traci ją przy słabym nawet wietrze i coraz niżej spada z liścia na liść, aż dostanie się do ziemi i to przedewszystkiem orzeszek pełny i ciężki. Pod ciepłem przykryciem, chroniony od mrozu i zimna, przeleży tam do wiosny, by dać życie nowemu olbrzymowi. O tem wie wszelki zwierz leśny od myszy do dzi-

---

Zwisła głowa, płuca raz jeszcze chwyciły powietrze. Gajowi ułożyli zwolna Michała na poduszkach.

Leżał z przymkniętemi oczyma, po chwili je otworzył, uśmiechnął się, zamknął zpowrotem oczy, raz jeszcze westchnął i skonał.

Skonał z uśmiechem na twarzy.

Dłuższy czas wszyscy milczeli, po chwili dopiero płacz gajowych uderzył o ściany pokoju.

Różogórski też płakał. Lecz wnet tylko szloch wstrząsał jego ciałem. Wreszcie uspokoił się zupełnie, położył rękę na ciele zmarłego i mówić począł; głos drgał mu wzruszeniem.

— Przysięgam, że życie całe spędzę na ochranianiu przyrody, a w sercu mem nie będzie innej miłości, nad miłość natury.

Biją dzwony.

Jakieś jękliwe tony słychać w tem biciu dzwonów kościelnych.

Otwarły się podwoje kościoła parafjalnego w Rzewuszkach.

I oczom zebranego tłumu, ukazała się niesiona przez gajowych trumna.

Wolno idą, tłum falą idzie za trumną.

Lecz co to, minęli bramy cmentarne, idą dalej.

I płynie trumna ponad polami, ponad łąkami, płynie het gdzieś...

Dotarli wreszcie do boru.

Grób przygotowany. Ksiądz jeszcze tylko odmawia modlitwy, po chwili skończył i wówczas uderzyły pierwsze grudy ziemi o wieko trumny.

Wiatr powiał.

I pochyliły się gałęzie drzew, jakby hołd oddając ostatni swemu obrońcy.

Przykryła ziemia grób. Ta ziemia, którą tak ukochał zmarły, ta ziemia naprawdę lekką mu będzie.

A kiedy gajowi wbili krzyż w świeżo ubitą ziemię, pierwsze promienie wiosennego słońca, oświetliły napis na krzyżu:

„TU ZNALAZŁEM UTRACONE SZCZĘŚCIE!"

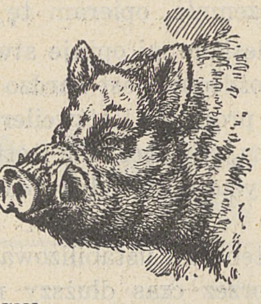
Koniec.

ka, od wiewiórki do jelenia. Przegrzebuje aż do ziemi nieraz dwudziestocentymetrową warstwę liści, byle się dostać do buczyny. I myślicie, że może stąd powstaje jaka szkoda? Bynajmniej. Zwierz zje dziesięć orzeszków, ale jedenasty zagrzebie w ziemi i ten rośnie w drzewo. Zwierz tedy, szukający pożywienia, staje się tu pomocnikiem Natury w jej wielkiem dziele tworzenia. Tu poznacie jej mądrość nieskończoną, tu nauczycie się ją czcić, kochać, tu duszą całą do niej przylgniecie. I tu jedynie, na jej łonie uwierzycie, żeście kość jej kości, krew jej krwi, żeście jej dziećmi tak samo, jak ten jeleń i buk, jak sarna i jodła. Zrozumiecie, że niema wielkiej różnicy między wami a motylem, żeśmy wszyscy dziećmi jednej matki, matki wszelkiego stworzenia — Natury — i jej praojca — Boga.

W gęstym poroście nad Szipotem, gwiżdże sobie kos swą wieczorną arję. Nagle przerwał ją, scichł na chwilę i frunął trwożnie przez potok. Zląkł się widać dzika, co porostem się przedziera. Ładna sztuka. Knur pięcioletni z wyraźnym grzebieniem szczeciniastym przez kark i pięknemi, białemi szablami. Małe ciemne oczy świecą zielonawo. Nie zna w nich strachu, widocznie węch i słuch powiedziały mu, że jest w miejscu bezpiecznem. Okazała sztuka! To nie cherlak zwierzyńcowy, wychowany na odmierzonej porcji kasztanów i ziemniaków, niemal zapisany do ksiąg rodowodowych od trzech pokoleń. O nie! To kolos, pełen ognia i siły, zwierzę spokojne i ufne w swą moc i doświadczenie. Długa szczecina, spodem czarna, na końcach jasno brunatna, pokrywa go twardym pancerzem. Nie wszystkie są jednako ubarwione. Tutejsi górale twierdzą, że są dwa gatunki dzików: karpacki — czarny i polski — szary, jeden mięsożerny, drugi jarosz. Podobne różnice umaszczenia spotykamy u tchórzy i ruskich wilków.

Nasz generał był, zdaje się, polskim okazem. Nad miarę rozrosły i szeroki w krzyżu posiadać musiał niepospolitą siłę. A była mu ona bardzo potrzebna, wobec nadchodzących godów weselnych. Wywalczyć, krwawo zdobyć miłość i utrzymać ją — nie należy do rzeczy łatwych. W poczuciu nadmiaru siły i energji huknął raz i drugi szablami w pień buka — wytrzymały. Dobra nasza! Mocne — można na nich polegać! Zawrócił z miejsca, przeprawił się przez rwący potok i z ryjem w górze ruszył w las pod wiatr. Dopiero koło północy zwietrzył liczniejsze towarzystwo. Była to locha z młodemi i konkurentem o jej względy — trzyletnim wycinkiem. Generał szedł po tropie, jak wicher. Dognał gromadkę na niewielkiej polance, zgodnie ryjącą za bulwami Heliantus strumosus. Młody wycinek nie miał czasu stanąć do walki, gdy olbrzym niespodzianie nań runął. Jedno uderzenie potężnym kłem — i rywal nie czekał drugiego ataku. Generał był panem sytuacji. Po paru dniach sprzykrzyła mu się krasawica, opuścił ją zgoła nie po rycersku. Zapoznał się z drugą i szukać zaczął trzeciej. Znalazł ją — ale była to miłość z przeszkodami. Rywalem był mu stary odyniec z sąsiedniego rewiru, o dobrych dziesięć centymetrów wyższy i o dwa, lub trzy lata starszy. Szable pięknie pożółkłe, ostro wytoczone, były najmniej o cal dłuższe — a i waga musiała być znacznie wyższa. Lecz w walce zwycięża siła i obrotność — nie wiek i waga. Pod tym względem Generał był górą. Nadto przeciwnik jego miał pewną słabą stronę. Stara rana na zadniem udzie, choć zagojona, jednak wywołała pewne zesztywnienie nogi, a zatem zmniejszyła szybkość i obrotność ruchów. A może i kość w szablach miał słabszą? Kto wie? Dość, że w trzecim ataku zawadził kieł Generała o jego kieł, jedno mocne szarpnięcie i złomek szabli rywala frunął w powietrze. Odgłos walczących dzików rozwiał nocną ciszę. Ostatnim wysiłkiem zadał stary kilka uderzeń zdrowym kłem przeciwnikowi — gdy jednak Generał pochyliwszy krwawy ryj, huknął go w bok potężnym łbem, że wszystkie żebra zatrzeszczały, ustąpił z placu boju w dostojnym odwrocie, który wkrótce przeszedł w sromotną ucieczkę. Zwycięski Generał stał na polance w blasku miesiąca do bożka gniewu podobny. Sierść zjeżona, oczy krwią zaszłe, ryj głęboko przeorany, cały bok własną i rywala posoką zlany. Trwał tak chwilę, ciężko dysząc. Locha podeszła o krok bliżej, więc syt chwały oddał się roskoszom wywalczonej miłości. — Takim to zwycięskim mocarzom każe boska natura być ojcami przyszłych pokoleń!

(C. d. n.)



KAZIMIERZ WYSOCKI

Proch bezdymny Wytwórni w Zagożdżoniu

Bardzo na czasie pojawił się w ostatnich numerach „Łowca" artykuł, pióra pana Generała Maryańskiego o amunicji krajowej.

Głosi się wszędzie, i to całkiem słusznie, zasadę „Swój do swego", — wspierajmy własną produkcję.

U nas jednak nie pamiętają wytwórcy i pośrednicy, że tylko wtenczas mają prawo wymagać od konsumentów, aby bezwarunkowo szli drogą wskazaną przez tę zasadę, jeżeli produkt przez nich wytworzony jest równie dobry i tyle kosztujący, co zagraniczny.

Cóż się ale u nas dzieje? Pod temi słusznemi zresztą hasłami, ściąga się w imię patrjotyzmu skórę z konsumentów. Kto tu winien, czy wytwórca czy pośrednik, ja nie wiem — ale że na kimś cięży wina, to nie ulega wątpliwości. Boć przecież to jest nie do pojęcia, aby setka naboi nabitych prochem bezdymnym kosztowała u nas 44 zł, podczas gdy zagranica jest w stanie z należnym dla solidnego wytwórcy i dla solidnego pośrednika zarobkiem, oddać w handlu detajlicznym, setkę

takich naboi tylko za 23 złote. A te zagraniczne naboje nie ustępują w swej dobroci w niczem nabojom Spółki Warszawskiej lub Pocisku.

Dawniej, z wyjątkiem w państwie wyrabianego śrótu, trzeba było sprowadzać z zagranicy — inne części składowe naboju — jakto łuski, proch, przybitki — a wysokością cła tłumaczono wysokość ceny naboi, choć niższą od obecnej, bo wówczas setka naboi przy użyciu bezdymnego prochu kosztowała 32 złote.

Z biegiem czasu powstały u nas wytwórnie łusek i przybitek tłuszczonych, tak, że do całości naboju zabrakło nam tylko prochu bezdymnego.

Dziś mamy już i własny bezdymny proch wyrobu państwowej Wytwórni w Zagożdżoniu i o tym to prochu chcę powiedzieć słów parę.

W marcu 1930 roku nadesłała państwowa Wytwórnia prochu w Zagożdżoniu, za pośrednictwem Warszawskiej Spółki myśliwskiej, na moje ręce, jako przewodniczącego rawskiego powiatowego Towarzystwa myśliwskiego, dla tegoż Towarzystwa 100 naboi Lancaster kal. 16 i tyleż kaliber 12, nabitych przy użyciu prochu bezdymnego, wyrobu tej Wytwórni, celem zapoznania sfer łowieckich z tym prochem. — Naboje te rozesłałem dwunastu członkom naszego myśliwskiego Towarzystwa i na podstawie opinji tych członków, jakoteż po próbach dokonanych przezemnie, opieram tę niniejszą relację:

Wszystkie, nadesłane mi opinje stwierdzają, że proch Wytwórni w Zagożdżoniu jest bardzo dobry — nie ustępujący w dobroci prochowi Rottweilerowskiemu. Jedynie zarzucić mu można, że więcej niż Rottweiler brudzi lufę.

Z tej opinji wyłącza się odpowiedź na dwa pytania, a to:

1) Czy proch ten jest ustabilizowany, to jest czy zamagazynowany przez czas dłuższy nie zmienia swej właściwości i nie spowodowuje samopału.

2) Czy proch ten w użyciu nie ulega wpływom atmosfery, bo myśmy nie mogli tego stwierdzić, gdyż proch ten, względnie naboje nabite tym prochem otrzymaliśmy w połowie marca.

Zewnętrzny wygląd tego prochu, przypomina bardzo, dawny bezdymny proch rosyjski „Sokół", który był znakomity. Siła prochu zagożdżońskiego wielka. W nabojach kal. 16 było 1.75 gr. prochu i cztery gatunki śrótu — a to o przekroju w millimetrach 2.25, 2.50, 2.75 i 3 mm.

Gęstość i krycie bardzo dobre. Mojem zdaniem, w tej sprawie proch odgrywa mniejszą rolę, a dobre krycie zależy niemniej od dobroci strzelby, od dobrych prochowych przybitek — i, co najważniejsze, od dobroci śrótu, którego poszczególne ziarnka muszą być idealnie równe, okrągłe, o równej wadze każdego ziarnka. Siłę przebicia, zależną prawie wyłącznie, a przynajmniej w bardzo wielkiej mierze, od prochu, posiada proch ten bardzo wielką.

Nie mam oczywiście żadnych przyrządów do mierzenia tej siły, ale w ocenieniu tej sprawy, służy mi przeszło sześćdziesięcioletnie doświadczenie. Strzelałem temi nabojami do deski sosnowej, do deski dębowej, do grubych książek i do blaszanych garnków na odległość między 30 a 40 metrów.

Ziarnka śrótu o przekroju 3 mm wchodziły głęboko w deski i przebijały jedną ścianę blaszanego garnka. Z dwóch naboi wyjąłem śrót drobny i dałem śrót o przekroju 4 mm. Takim nabojem strzeliłem do garnka blaszanego o średnicy 20 ctm na odległość 36 metrów. Z 12 ziarnek śrótu, które trafiły w garnek, 8 śrótów przebiło obie ściany garnka a 4 ziarnka, trafiwszy w miejsce lutowania, przeszły tylko przez 1 ścianę.

Jeżeli zatem stabilizacja i odporność przeciw zmianom atmosferycznem tego prochu będzie dobra, to nie ulega wątpliwości, że cały nabój śrótowy, odpowiadający wymogom naboju bez zarzutu — możemy zrobić z produktów krajowego, naszego wyrobu, a naboje te w niczem nie ustąpią wyrobom zagranicznym.

Obowiązkiem zatem naszym będzie kupować tylko produkt naszych Wytwórni Krajowych, pod warunkiem jednak, że za bez zarzutu zrobione naboje z naszego materjału pobieraną będzie cena solidna, odpowiadająca faktycznym kosztom produkcji a nie obliczona na lichwiarskie zyski.

Cena prochu w detajlicznej sprzedaży nie może przekraczać kwoty 25 złotych za kilogram, a cena łusek również w detajlu za 100 sztuk kwoty 12 zł. Dotychczasowa horendalna cena przybitek tłuszczonych, musi również być zniżoną.

Jeżeli zagranica może wytwarzać tak proch, jakoteż i znakomite łuski za detajliczną, znacznie niższą cenę, jak powyższa przezemnie postawiona, to nie ma żadnego powodu, aby nasze wytwórnie za tę cenę, z dobrym, ale solidnym zyskiem nie mogły oddać swoich wyrobów.

Wobec tego cena 100 naboi, nabitych prochem Wytwórni w Zagożdżoniu przedstawia się jak następuje:

100 łusek	12 zł		
proch bezdymny po 1.8 na nabój	4 zł	50	gr.
śrót po 28 gr. na nabój po 2 zł. 80	7 zł	84	gr.
przybitki na proch	2 zł	50	gr.
przybitki na śrót		20	gr.
Razem	27 zł	04	gr.

Jeżeli się weźmie na uwagę, że kupcy robiący i sprzedający gotowe naboje mają u wytwórców prochu, łusek, przybitek i śrótu opust przynajmniej 12% z ceny kupna, wynoszący przy 100 ładunkach przynajmniej 3 zł 24 gr, że zatem ich koszt zakupu wynosi 23 zł 80 gr to przyjąwszy kwotę 30 złotych jako cenę pobieraną za 100 naboi, wynosić będzie ich zarobek na 100 nabojach kwotę 6 zł 20 groszy — od której odliczyć trzeba nieznaczną kwotę za zrobienie tych naboi. Ilość prochu i śrótu przy nabojach o kalibrze 12 będzie większą nieco od ilości, którą przyjąłem przy obliczaniu (prochu 1.80, śrótu 2.8 gr.) ale zato ilość ta mniejszą będzie przy kalibrze 20 — tak bardzo dzisiaj używanym. — Wziąłem więc przecięcie.

Zdaje mi się, że kwota ta zarobku raczej zmniejszoną aniżeli powiększoną być powinna, jeżeli ma się mówić o solidnym — a nie, o opartym na lichwiarskich zyskach, kupiectwie. Ustalenie cen łusek i przybitek, jakoteż ceny bezdymnego prochu Wytwórni państwowej w Zagożdżoniu, leży jedynie w rękach Rządu. Wszak wytwórnia prochu w Zagożdżoniu, jest własnością Państwa — a akcje akcyjnego Towarzystwa „Pocisk" — wyrabiającego łuski i przybitki są również w znacznej części w rękach Państwa.

że produkcja prochu, łusek i przybitek i ich detajliczna sprzedaż po cenach wyżej przezemnie oznaczonych bardzo korzystnie kalkulować się musi, dowodem tego ich znacznie niższe ceny zagraniczne.

Przedsiębiorstwa akcyjne czy państwowe pracować muszą i powinny z zyskiem, opłacając należycie pracowników, ale nie powinny istnieć dla napchania kosztem Państwa czy też akcjonarjuszy i konsumentów, kieszeni dyrektorów i członków Rad zawiadowczych.

Sztuczne śrubowanie cen nieodpowiadających kosztom produkcji, za artykuły koniecznej potrzeby, do których, o ile chodzi o gospodarkę łowiecką — o myśliwstwo, należą naboje myśliwskie, przez ustanawianie bardzo wysokich ceł, przyniesie Państwu tylko stratę, bo da powód do wielkiego rozgałęzienia się przemytnictwa, wywiezie miljony złotych z kraju i obniży budżet handlowy państwa.

Nieuzasadnione zakazy przywozu potrzebnych nam artykułów, nieuzasadnione wysokie cła wwozowe, to soki żywotne przemytnictwa. Najlepszą strażą graniczną przeciw przemytnictwu jest rodzimy, dobry i odpowiedni tani towar, a najsilniejszą podporą i matką przemytników, to wygórowane, niczem w swej wysokości nieusprawiedliwione cła wwozowe.



BILANS

Małopolskiego Tow. Łow. za czas od 15 maja do 31 grudnia 1929 r.

STAN CZYNNY — **STAN BIERNY**

STAN CZYNNY	Zł.	gr.	STAN BIERNY	Zł.	gr.
Kasa	16	75	Rachunek majątku	15.078	—
Galicyjska Kasa Oszczędn., Lwów	3.106	22	Wierzyciele	3.494	33
P. K. O. Warszawa	882	86	Sumy przechodnie	4.038	33
Udziały	700	—	Zysk	3.657	17
Członkowie	8.831	48			
Dłużnicy	1.716	70			
Odznaki i dyplomy	659	37			
Książki własne	2.230	15			
Książki obce	872	85			
Bibljoteka	827	70			
Ruchomości	800	—			
Sumy przechodnie	5.623	75			
	26.267	83		26.267	83

Lwów, dnia 31 grudnia 1929 r.

Juljusz Bielski — *St. Pieńczykowski*

Zestawił: — Komisja rewizyjna:

K. Wilczyński — *Dyonizy Toth* — *Gąsiorowski*

RACHUNEK STRAT I ZYSKÓW

WINIEN	Zł.	gr.	MA	Zł.	gr.
Wydawnictwo „Łowca”	9.983	05	Wkładki	24.624	46
Premjowe strzelanie	291	20	Prenumerata	15	40
Koszty handlowe	11.183	07	Ogłoszenia	3.153	87
Prowizje i odsetki	2.930	91	Różne zyski	251	67
Zysk	3.657	17			
	28.045	40		28.045	40

Lwów, dnia 31. grudnia 1928 r.

Zestawił: *K. Wilczyński* *St. Pieńczykowski*

Komisja rewizyjna:

Dyonizy Toth *Gąsiorowski*

Zamknięcie rachunków

Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie za czas od dnia 1. I do 31. XII 1929 r.

L. p.	PRZYCHÓD	zł	gr	zł	gr
1	Pozostałość kasowa z r. 1928, jako rezerwa na wyrównanie udziału w Centrali Tow.			2349	31
2	Wpisowe członk.			14	—
3 a	Wkładki członków bezpośrednie .	5371	50		
b	Udział Oddziału w wkładkach pośrednich Centrali Tow. od 1. X 1927 do 31. XII 1928	1500	82	6872	32
4	Wpłaty na odznaki łow.			12	—
5	Odsetki z rku P. K. O.			22	82
6	Zwroty za porto			2	—
				9272	45

L. p.	ROZCHÓD	zł	gr	zł	gr
1 a	Udział Centrali Tow. w bezpośrednich wkładkach członków Oddziału 1. X 1927 do 31. XII 1928	3376	14		
b	Udział Centrali Tow. w wpisowem członków Oddziału od 1. X 1927 do 31. XII 1928	10	80	3386	94
2	Druki i powielania			125	—
3 a	Potrzeby biura	443	98		
b	Prowadzenie i pomoc biura . . .	1560	00	2003	98
4	Porto i stemple			188	25
5	Wypłaty za odznaki łow.			21	—
6 a	Prowizja Poczt. Kasy Oszczędn. .	23	25		
b	„ inkasowa	111	30	134	55
7	Diverse:				
	a) Spłata pożyczki weksl. z % .	194	45		
	b) Bibljoteka łowiecka	52	90		
	c) Prenum. „Łowca Polskiego” .	32	—		
	d) Drobne wydatki	15	—	294	35
8	Stan kasy z 31. XII 1929:				
a	Gotówka . . . . . . (jako rezerwa na wyrównanie udziału w Centrali w wkł. Oddz.)	477	14		
b	Poczt. Kasa Oszczęd. .	41	24		
c	Książ. wkład. P. K. O.	2600	—	3118	38
				9272	45

Kraków, dnia 31 grudnia 1929 r.

Prezes
Stiller mp.

Sekretarz i Skarbnik
Morawetz mp.

Komisja rewizyjna dnia 6 maja 1930 r.
Karol Manda mp. *Mieczysław Górka* mp.

Za zgodność odpisu:
Kraków, dnia 8 maja 1930 r.

Prezes
Stiller gen.

Sekretarz
Morawetz

Nekrologi

†

Dr Edward Zieliński

konsultent sanitarny kolei państw.,
długoletni członek i delegat M. T. Ł.

Zmarł w Nowym Sączu w miesiącu maju bieżącego roku. Cześć pamięci Zasłużonego na niwie łowieckiej pracownika.

†

ADAM GORECKI

**Radca Magistratu, Naczelnik Wydziału
długoletni Prezes Tow. Myśliwych
w Stanisławowie**

zmarł dnia 6-go czerwca 1930 roku

Cześć Jego pamięci!

Korespondencje

Kamionka Strumiłowa, 1 maja 1930

Wprawdzie jest mi trochę nieprzyjemnie, że tak powiem, włazić w obcy rejon, i to rejon delegata i członka Wydziału M. T. Ł. p. Stanisława Jaśkiewicza w Radziechowie, a tem więcej, że fakt, który chcę opisać, dzieje się w samej siedzibie Jego stałego zamieszkania i bardzo dobrze jest Mu znany, a że p. delegat dotychczas nawet wzmianki o tym fakcie w łamach „Łowca nie uczynił, przeto sądzę, że gniewać się na mnie nie będzie, jeżeli Go piórem wyręczę i fakt, w każdym razie uwagi godny, do wiadomości ogółu myśliwych zapodam.

Z końcem maja 1929 r., znaleziono w życie na łanach Stanisława hr. Badeniego pod Radziechowem, małego, bo zaledwie kilka dni liczącego rogaczyka, którego matka, albo odrzekła się, albo też z opieki swojej straciła, a dającego już tylko słabe oznaki życia. Rogaczyka tego przyniesiono do Zarządu rewiru w Pukaczowie i oddano do rąk zarządcy rewiru p. Władysławowi Gołębiowskiemu. Przy nadzwyczajnej pielęgnacji ze strony p. G. rogaczyk ten, z dniem każdym czem raz więcej sił nabierał, i już po kilkunastu dniach, swojemi akrobatycznemi ruchami i skokami, domowników i widzów w zachwyt wprowadzał. Nazwano go „Kubusiem".

Rósł więc sobie Kubuś z dnia na dzień, stając się z każdym dniem większym, piękniejszym i przez domowników bardziej kochanym.

Już w pierwszych dniach września zaczęły się formować na czole jego, kostne guzy czołowe, z których w pierwszych dniach listopada, wyrosły maleńkie, bo zaledwie 1 cm wysokie nieomszone rożki, które z końcem listopada tak zrzucił, że nawet nie zauważono, kiedy to się stało. Pozostały jedynie na guzach kostnych czołowych znaki, lekko krwawiące, jako ślady, że rożki w miejscach tych były. Około Bożego Narodzenia w miejscach tych zaczęły formować się guzy możdżeniowe, które z czasem rozrosły się do wielkości gołębiego jaja i z samego środka tych guzów, zaczęły z końcem stycznia (1930 r.) wyrastać omszone grube rożki szpiczaka, przeistaczając się w lutym w widełka, w marcu zaś w doskonałego szostaka. W dniu 24 kwietnia oczyścił Kubuś swoje rożki, wycierając je o gałęzie drzew, trąc z taką siłą, że kora z gałęzi tych kawałkami odpadała. Po przeszło godzinnem wycieraniu, któremu na odległość 10 kroków cały czas przypatrywałem się, omszony naskórek z rożków tak podziurawiony został, że okazały się białe, lekko zakrwawione rożki, na których tu i ówdzie wisiały tylko małe frendzelki, które odpaść nie zdołały. Po tej czynności, podszedł Kubuś do mnie, jakby chciał się pochwalić swojemi rożkami. Zawołałem służącego i kazałem mu frędzelki te z rożków rękami poodrywać, co Kubusiowi widocznie podobało się, gdyż stał zupełnie spokojnie. Po zupełnem oczyszczeniu mu rożków z pozostałości, Kubuś oddalił się spokojnie, poczem zarył rożkami w piasek kilkakrotnie, a że otarte rożki jeszcze nie obeschły i były mocno kleiste, tak piaskiem oblepiły się, że wyglądały znowu jakby omszone. Po tej czynności udał się Kubuś w gęste krzaki malin, gdzie do łodyg oczyścił je z piasku w zupełności. Stały się brudne i suche.

Wieczorem dnia tegoż, rozmawiając na podwórzu z siostrzenicą i wnuczką p. G., którym właśnie opowiadałem o Kubusiu i jego oczyszczeniu rożków, Kubuś, pasący się na kilka kroków od nas, podniósł swoją ukoronowaną główkę, spokojnie zbliżył się ku nam, i stanąwszy na 3 lub 4 kroki przedemną, spuszcza nagle główkę wdół i jednym skokiem atakuje mię rożkami. Trzymając grubą laskę w ręku i widząc, że atak wymierzony w moje kolana, zasłaniam się laską, jednak tak niezręcznie, że całe uderzenie rożkami odczuwam na prawej ręce i to tak silne, że w pewnej chwili ręka mi poczerwieniała, a po chwili nawet nieco opuchła. Na drugi dzień atakuje mnie Kubuś ponownie. Ponieważ atak ten uprzedził Kubuś zachodzeniem mnie z boku ze spuszczoną w dół główką i piorunującem spojrzeniem a tem samem miałem czasu dosyć przygotować się na odparcie tegoż, przeto w chwili skoku uchwyciłem go lewą ręką za rożki tuż przy różach, prawą zaś ręką, w której miałem gibki pręt grabowy, taki raz mu po tylnym czomberku wymierzyłem, że odskoczył jak oparzony i tylko z daleka dawał wyrazy swojego niezadowolenia z tego co zaszło.

Następnego dnia znowu zaatakował rozmawiającego ze mną na podwórzu adj. las. p. inż. Bogdanowicza, któ-

ry będąc zupełnie bezbronny, chwycił go rękami za rożki i party silnie przez Kubusia cofać się musiał aż do ganku i dopiero wyskoczywszy na wysoki stopień ganku, z rąk swoich Kubusia wypuścił.

Tak więc Kubuś, stawszy się w **jedenastu miesiącach swojego żywota doskonałym szóstakiem o silnie rozwiniętych rożkach, stał się** obecnie postrachem wszystkich domowników, nie wyłączając i tych osób, które o niego dotychczas najwięcej dbały. być może, że Kubuś uważa tego rodzaju ataki, za najzwyklejszą zabawę towarzyską, na której my jednak nic a nic nie rozumiemy się.

Opuszczając gościnne progi p. G. zrobiłem pomiar porostków Kubusia i tak:

Wysokość 17 cm, rozpiętość u góry 9 cm, obwód róż po 11 cm, odnoga dolna rogu prawego 6 cm, lewego 4 cm odnoga środkowa rogu prawego 2 cm, lewego 4 cm, odnoga górna rogu prawego 1 cm lewego 2 cm. Grubość pnia pod pierwszą odnogą 7 cm obwodu. Uperlenie bardzo liczne, a osobliwie między ścianami a pierwszą odnogą, perełki jednak drobne. Powyż 1 odnogi aż do góry, rożki gładkie. Wysokość Kubusia 75 cm. Budowa ciała silna, na ogół jednak, ani wysokością ani budową ciała, nie różni się prawie niczem, od swoich rówieśników w lesie, przez matki swoje wychowywanych.

Czemu przypisać ten nadzwyczajny rozwój porostków w tak krótkim czasie, zechcą wyjaśnić badacze*).

Co do jego odżywiania się, to będąc bardzo małym, spijał przeszło po trzy litry mleka dziennie, w miarę podrastania zjadał chleb lub bułkę rozmoczoną w mleku, dostawszy ząbki zjadał w ogródku kwiatowym róże, bratki, narcyzy, koniczynę i różne inne trawki; w ogródku jarzynowym młode listki buraków, kapusty, sałaty, młode pędy krzewów malin; później dostawszy ząbki silniejsze, zjadał skórki z chleba, sucharki, rzodkiewkę, maliny, orzechy łuszczone, owies w ziarnie, kukurydzę, żołędzie i t. p. Usłyszawszy brzęk talerzy w jadalni, zjawiał się natychmiast przy stole, a obchodząc stół dookoła, domagał się wprost od stołowników, by i jemu coś ze stołu podano, bodząc ich lekko omszonemi rożkami. Przy stole zjadał wszystko co mu tylko podano, chleb, bułki, sucharki, ciasta, owoce, jaja na twardo, kiełbasę, szynkę, salceson płatkami mu podany, cukier w kostkach, cukierki, czekoladę, a nawet cukierki likierowe smakowały mu bardzo. Zakradłszy się do kuchni, łasował gdzie co mógł złasować, wyjadał ciasto z dzieży, ze stolnicy ściągał pierogi z kartoflami i serem, pierogi z kapustą, kluski, raz nawet złasował całego sznycla wołowego, w czasie czego złapano go na gorącym uczynku — gdy dojadał resztkę. Wogóle apetyt miał dobry i nie gardził niczem.

W początkach sypiał w pokoju na otomance i pierzynkach mu podkładanych, na łóżeczkach dziecięcych, na które sam bardzo zgrabnie wyskakiwał, następnie urządzono mu sypialnię w specjalnej klatce na ganku. Przez zimę, aż do wiosny, sypiał w przedpokoju, od marca zaś sypia w ogródku przed domem, kładąc się na gołej ziemi.

W ostatnich miesiącach Kubuś, widocznie wskutek wysiłku pracy organizmu, przy formowaniu tak pięknych i dużych porostków, mocno zmizerniał. Obecnie zrzuca Kubuś zimowe szaty, przeoblekając się w letnie, na apetycie jednak, ani na humorze, nic a nic nie stracił.

O dalszem życiu Kubusia i jego losach, gdy będzie coś ciekawego, doniosę później, o ile p. Delegat radziechowski przeciw temu nic mieć nie będzie.

Hipolit Neumann
delegat kamionecki

*) Rogacze chowane, dzięki ułatwionym stosunkom życiowym przeprowadzają zawsze o wiele szybciej i intenzywniej proces rozwoju rogów, aniżeli rogacze dziko żyjące. Fakt, że ze szpiczaka powstał szóstak, jest objawem zupełnie normalnym. Formę widłaka tak u rogacza, jak i jelenia, uważa się za objaw niedomagania fizycznego.



Komunikat

Zawody Strzeleckie w Stryju

W dniach 21 i 22 czerwca 1930 r. odbędą się

Powszechne Zawody Strzeleckie

na strzelnicy garnizonowej w Zawadowie obok Stryja

W program zawodów wchodzą też strzelania myśliwskie, (strzelanie do ruchomego jelenia, dzików i lisa, oraz strzelanie do rzutków), które odbędą się dnia 22 czerwca 1930 r. w godzinach od godz. 11·30 do 18.

Na premje przeznaczone są cenne przedmioty.

Zawody zgromadzą pokaźną ilość myśliwych z powiatów: Stryj, Dolina, Żydaczów. Z innych powiatów goście będą mili widziani.

Dojazd na strzelnicę autami, które oczekiwać będą P. T. Gości przed cukiernią p. Markiefki w Stryju.

Za Komitet:
Wiśniewski Walerjan
D-dca 53 p. p. w Stryju

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16